

Aktorska kreacja w cyberprzestrzeni

ŁUKASZ IGNASIŃSKI | O swoich rolach oraz fascynacji Toruniem mówi aktor Teatru im. Horzycy, laureat nagrody Wilama.

W: Jak traktuje pan Wilama dla najlepszego aktora w zespole? Czy to dla pana zachęta, wyzwanie czy obciążenie?

ŁUKASZ IGNASIŃSKI: Przede wszystkim należy się małe sprostowanie, bo Wilam jest nagrodą dla najpopularniejszego, a nie najlepszego, aktora w ubiegłym sezonie teatralnym. Jestem daleki od stawiania znaku równości przy tych obu przymiotnikach. Natomiast co do moich odczuć, to oczywiście jest to miłe wyróżnienie i nobilitacja, która niezwykle buduje, bo odbieram tę nagrodę z rąk widzów, a dla nich przecież robię teatr.

Uważa się pan za lidera zespołu lub jednego z nich, na przykład w swoim pokoleniu? Jakby się pan umiejscowił w hierarchii toruńskiego zespołu?

Co do zespołu, to jestem zdania, że teatr jest właśnie grą zespołową. Niejednokrotnie powtarzałem, że spektakl jest jak mecz, w którym, żeby odnieść sukces trzeba grać wspólnie, do jednej bramki. Jeśli tego zrozumienia nie ma, jeśli nie umiemy, bądź nie chcemy cennie wymieniać ze sobą podań, nie ma szansy na zwycięstwo. Wierzę, że koleżanki i koledzy cieszą się, że akurat w tym roku to ja „strzeliłem” te zwycięską

bramkę. Nie wiem, czy to znaczy że zostałem liderem. Być może czasem rola lub zadanie determinuje przywództwo? Ja nieustannie myślę o sobie jako o jednym z graczy, elemencie całości.

Jakie miejsce na teatralnej mapie Polski zajmuje, pana zdaniem, Toruń?

Mam takie wrażenie, że Toruń z jakichś powodów jest niedoceniany na teatralnej mapie Polski. Zdaję sobie sprawę, że nie jesteśmy w pierwszym obiegu popularności i wyjazdów festiwalowych. Można by pewnie długo rozводить się nad przyczynami, bo myślę, że jest ich sporo i nie wszystkie są takie oczywiste. Na pewno nie pomaga Toruniowi przeciągające się zamieszanie wokół wyboru dyrektora Teatru im. Wilama Horzycy i od ponad dwóch sezonów funkcjonowanie właściwie w ciągłej niepewności jutra. Co nie oznacza, że w ostatnim czasie nie powstały tu znakomite spektakle. Jak choćby „Krzyżacy” w adaptacji Michała Kotańskiego czy „Reykjavik 74” autorstwa Marty Sokołowskiej i w reżyserii Katarzyny Kalwat.

Ten ostatni zobaczymy niedługo m.in. na



MATERIAŁY PRASOWE

szczecińskim festiwalu Kontrapunkt. A jakim Toruń jest miejscem do życia?

Świetnym! Ma wszystko, czego do życia trzeba. Niepowtarzalny klimat, wysokiej próby architekturę, z jednej strony Wisły nocne życie i codzienny zgiełk turystów, a z drugiej, gdzie notabene mieszkam, spokój i pocztówkowy widok na gotycką starówkę. Właściwie wszyscy goście odwiedzający mnie, czy to z kraju, czy ze świata, w równym stopniu są Toruniem urzeczeni. Oczywiście, nie ma sensu porównywać go do dużo większych ośrodków, jak Wrocław czy Kraków. Ale jako średniej wielkości

→ CV

Łukasz Ignasiński ukończył PWST w Krakowie. W Toruniu gra od 2009 r. Obecnie występuje jako Viktor w „Cyber Cyrano” Istvána Tasnádi w reżyserii Uli Kijak, Aleksy w „Bramach raju” Jerzego Andrzejewskiego w reżyserii Krzysztofa Rekowskiego i Zbyszko z Bogdańca w „Krzyżakach” Henryka Sienkiewicza w reżyserii Michała Kotańskiego. Gra również w teatrach w Bydgoszczy i w Szczecinie. Telewidzowie oglądali go w serialu „Na dobre i na złe”.

miasto w Polsce jest dla mnie nie do pobicia.

Gra pan teraz w dwóch klasycznych tekstach – jedną z głównych ról Zbyszka z Bogdańca w „Krzyżakach” i służącego Tranio w „Poskromieniu złoŹnicy”. To bardzo różne role?

Krótko?

Może być długo!

Różnią się wszystkim! Bo raz – to diametralnie odmienny materiał literacki. Szekspir i Sienkiewicz, choć obaj na „S”, w mojej bibliotece nawet koło siebie nie leżą na półce! Tu – dramat, a właściwie komedia, a tam adaptacja powieści. Zupełnie inne

konwencje, skrajnie różne rysy bohaterów. Chyba nie umiem w tych dwóch produkcjach znaleźć, poza ogólnie rozumianą „klasyką” wspólnych punktów.

Z kolei „Bramy raju” pokazują, jak ideologie stanowią alibi do ukrycia często nieakceptowanej natury człowieka. Co dla pana jest najważniejsze w tym spektaklu, wyróżniającym się także od strony formy?

Chyba jego oszczędność. Miałem duży dystans do tego projektu. Nie umiałem sobie wyobrazić, jak tekst – napisany przez Andrzejewskiego w formie jednego zdania – można ciekawie pokazać na scenie. Wcześniejsze realizacje, które miałem okazję oglądać, włącznie z filmem Andrzeja Wajdy, były kompletnie nietrafione. Długo się z tym demonem męczyłem. I okazało się, że kluczem do scenicznej adaptacji, który sprawia, że się broni, są bardzo intymne sytuacje. Osobiste, grane sam na sam ze sobą – spowiedzi. Nie odkryję tu Ameryki, ale najskromniejsze środki czasem działają najsilniej, trzeba tylko w to uwierzyć! Uwierzyliśmy i okazało się, że kameralnych „spowiedzi” widz chce słuchać..

„Cyber Cyrano” rozgrywa się na przecięciu rzeczywistości

i świata wirtualnego. Zna pan ten świat, czy spektakl był podróżą w nieznane?

Skłamałbym mówiąc, że nie znam, ale w trakcie pracy mieliśmy szansę, a jednocześnie zadanie, by wejść w ten świat głębiej. Na przykład wszyscy aktorzy stworzyli fikcyjne konta na Facebooku, konta swoich postaci. Było to zabawne, podniecające i przerażające zarazem, kiedy na własnej skórze odczułem możliwości – na potrzeby projektu, oczywiście, nieszkodliwej – manipulacji w wirtualnej rzeczywistości. Po krótkim czasie, Viktor Kovacs, fikcyjna postać, bohater tego dramatu, miał w internecie kilkudziesięciu „znajomych”, zbierał lajki i czatował z młodymi ludźmi z różnych stron świata. Administracja FB miała na początku pewne wątpliwości co do autentyczności konta, ale po kilku próbach nawet system uznał Viktora za pełnoprawnego (sic!) użytkownika mediów społecznościowych..

Jak pan sam widzi, popularne są nie tylko pana role w teatrze, ale i w internecie. A jakie zadania przed panem?

Poza nadchodząca premiera? Nie wiem, i ta niewiadoma, ciągle szukanie i odkrywanie nowego, najbardziej mnie kręci! ☺☺

—rozmawiał Jacek Cieślak